



W
2016

ANDRZEJ BART

REWEAVERS

ANDRZEJ BART

REWARDS

Andrzej Bart (ur. 1952) – powieściopisarz, scenarzysta, autor filmów dokumentalnych. Uchodzi za jedną z najciekawszych postaci polskiej literatury. Autor słynnej powieści *Rien ne va plus* (1991), która została uhonorowana Nagrodą Kościelskich. Wydał też między innymi: *Pociąg do podróży* (1999) oraz *Don Juan raz jeszcze* (2006). Jako Paul Scarron jr napisał metafizyczno-żartobliwy kryminał *Piąty jeździec Apokalipsy* (1999). Wydaną nakładem W.A.B. powieść *Fabryka muchołapek* (2008) nagrodzono „Gwarrantami Kultury” przyznawanymi przez TVP Kultura oraz nominowano do nagród literackich „Cogito”, „Gdynia” i „Angelus”. Powieść znalazła się także w finale Nagrody NIKE 2009.

w
ab

ANDRZEJ BART

REWERS

nowela filmowa

Copyright © for the text by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Copyright © for the scenario by Studio Filmowe KADR
Wydanie I
Warszawa 2009

Czas o tym powiedzieć. Po pierwsze, nie popełniłam samobójstwa, choć, muszę przyznać, byłam tego bliska. Naiwny autor powieści Rien ne va plus zasugerował to mniej więcej tak: „Nie minął jeszcze piątek, kiedy Bożena weszła do łazienki i żywa już z niej nie wyszła”.

Po drugie, nie mam na imię Bożena.

Sabina

Warszawa, początek lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku

Powinna pamiętać o kupieniu chleba i pamiętała. Sprzedawczyni nie była uprzejma, ale nie była też nieuprzejma, co już robiło wrażenie. Sabina spróbuje podziękować uśmiechem, ale spóźni się i uśmiechnie już po zamknięciu za sobą drzwi. Zawstydzenie z tego powodu będzie jej towarzyszyć do placu Unii Lubelskiej.

W kinie nawet nie pomyśli, że na jej twarzy wykwita rumieniec. W ciemności jest bezpieczna. Przebywa w świecie innym niż książkowy – jak twierdzi mama: w głupim – ale przez dwie godziny dającym ciepłe schronienie od niepotrzebnych myśli.

Na sali może dziesięć osób, z których tylko jedna zdejmuje palto, ale zaraz znowu je wkłada. Bileterka zawiadamia o zepsutym ogrzewaniu takim tonem, jakby miała pretensje do widzów. Siwy mężczyzna, który przyszedł do kina z żoną, mówi o tym głośno,

może nawet za głośno: „Czy to my jesteście winni, że nie dowieźli koksu? Bierzecie pieniądze, i co?” Na bileterce nie robi to najmniejszego wrażenia. „Komu się nie podoba, kasa zwraca za bilety”. Światło zaczyna gasnąć, zanim odwróci się do wszystkich plecami i wyjdzie. Po chwili rozjarza się ekran.

Sabina lubi kroniki, bo przedłużają moment oczekiwania na film, ale też można się z nich dowiedzieć, co się dzieje w świecie. Lektor opowiada o uroczystościach państwowych w Moskwie, a na ekranie Józef Stalin kiwa dobrotliwie dłonią do przepływających pod trybuną tłumów. Las transparentów zachwalających pokój. Idą sportowcy różnych dyscyplin. Dziewczyny niezbyt ładne, o szerokich twarzach, ale mężczyźni ciekawi. Oblicza może niezbyt piękne, lecz czyste czystością niezapisanej kartki papieru. Kulomoci i oszczepnicy prężą mięśnie i uśmiechają się do Sabiny. Sabina odwzajemnia się rumieńcem i przerażeniem w oku. Wyświetlony potem *Pierwszy start* nie zrobi już na niej wrażenia, zwłaszcza że dwukrotnie zacięła się taśma i na sali zapalano światło.

Marszałkowską w stronę Hożej. Zrujnowane kamienice jeszcze niedawno były reprezentacyjnymi gmachami. Sabina mija dom, do którego jako dziewczynka przychodziła na lekcje skrzypiec. Jak zawsze, kiedy tamtędy przechodzi, podnosi głowę, aby spojrzeć na pokój, w którym profesor Tarszyc uczył ją grać. Pokój zapadł się razem z połową domu trafionego bombą, ale na ocalonej ścianie widać tapetę, z której żona

profesora była bardzo dumna, bo zaprojektował ją dla niej kuzyn samego Czermańskiego.

Zatrzymuje się przed wystawą sklepu z butami i myśli, czy nie sprawić sobie na wiosnę brązowych czółenek. Nie jest próżna, a więc tylko przypadkiem zauważy swoje odbicie w szybie wystawowej. Widzi postać, która nie tylko nie może nikogo zachwycić, ale nawet zainteresować. Chodzącą przeciętność w jesionce przerobionej z marynarskiego płaszcza, kupionego na bazarze za trzynastą pensję.

Czy tak właśnie wygląda? Chciałoby się wierzyć, że tylko wrodzona niewiara w siebie ujmuje jej urody, bo przecież ma pięknie wykrojone usta. „Spróbuj się więcej uśmiechać – powtarza babcia – a wtedy chłopcy inaczej na ciebie spojrzą”. Babci należy wierzyć i Sabina uśmiecha się posłusznie. Nie widzi żadnej zmiany, choć uśmiech jakby ujął jej wieku. Ma dwadzieścia dziewięć lat i jest przekonana, że kiedy dożyje trzydziestki, młodość zostanie bezpowrotnie utracona. Wierzy też, że wszyscy słusznie ją podejrzewają, że jeszcze nigdy nie całowała się z mężczyzną.

Zatłoczony autobus? Pójdzie pieszo, przede wszystkim dlatego aby dłużej pobyc sama na zatłoczonej ulicy. Na jednej z wystaw suknia w czarno-białą pepitę. Dekolt za bardzo odsłania szyję, a całość nie pasuje do brązowych butów. Szczęśliwie żadnych już więcej pokus i Sabina dochodzi do placu Unii. Lubi ten niezniszczony zakątek miasta, bo przypomina Warszawę sprzed kilku lat. Modernistyczne kamienice zajęły tu

w wojnę okupanci, a po niej dygnitarze nowego ładu. A ja przecież nie jestem żadnym dygnitarzem – myśli Sabina i wchodzi do jednej z nich. Chce przywołać windę, kiedy niespodziewany głos z góry:

– Sabiniu, pospiesz się...

W oczach wychylającej się przez poręcz mamy z troskanie większe niż zwykle.

Nie czekając na windę, Sabina szybko wbiega po schodach.

Pani Sabina

Warszawa, początek dwudziestego pierwszego wieku.

Ta sama klatka schodowa

Pani Sabina ma już dużo lat. W lustrze windy spojrzy na siebie śmiało i zobaczy zadbaną staruszkę. Nigdy nie chciała być staruszką, zobaczy więc starszą panią ubraną w tweedowy płaszcz i brązowy kapelusz. Kapelusz jest starszy od dziewczyny, która wsiadła właśnie do windy. Dziewczyna gotowa byłaby przysiąc, że jej pani sąsiadka mówi do siebie: „Muskulatura sportowców nie robiła na mnie aż takiego wrażenia...”

Dyrektor

Sabina z wrażenia nie śpi pół nocy. Powtarza się to zawsze, kiedy ma rozmawiać z dyrektorem Barskim.

Idzie długim korytarzem w stronę gabinetu i czuje drżenie kolan. Z medycznego punktu widzenia może dziwić, że mimo drżenia idzie szybciej niż zwykle. W sekretariacie pani Krystyna zdradza jej sekret robienia na drutach. Zamówiony miesiąc temu sweter z beżowej wełny jest już gotowy. Ciemnobrązowy kołnierz i mankiety. Zestawienie kolorów doradziła babcia, która miała podobny sweter na pensji, także zrobiony przez kobietę o imieniu Krystyna.

– To takie proste, pani Sabinko. Siedem oczek lewych i sześć prawych. A mankiety ściągaczem... – Krystyna z sekretariatu jest życzliwa całemu światu, choć, jak mówią, ma kłopoty z mężem, który podobno już dwukrotnie był przesłuchiwany bez powodu.

– Chyba trzeba do tego dużo cierpliwości... – Sabina sprawia wrażenie przejętej, choć w tej chwili obchodzi ją tylko to, co powie Lidia, druga sekretarka Barskiego, która weszła do gabinetu i już długo nie wychodzi.

– Pani redaktor, a kto może mieć więcej cierpliwości od pani? Cały czas nad książkami...

– Ile się należy, pani Krysiu?

– Co też pani, pani Sabinko. Mało to mi pani pomogła z tym lekarstwem. Niech się nosi na zdrowie.

– Tak być nie może. To pani praca i musi być zapłacona... – w głosie Sabiny przekonanie o własnej racji, a w dłoniach portmonetka.

W drzwiach gabinetu pojawia się Lidia. Jest jedną z piękniejszych dziewczyn w Warszawie i Sabina za-

wsze na jej widok odczuwa ukłucie zazdrości. Gdyby jednak miała wybierać, zamiast urody wolałaby mieć podobną śmiałość. Lidia niczego się nie boi i potrafi się nawet głośno zaśmiać w obecności dyrektora.

– Rozmawia przez telefon, ale możesz wejść. Jest dzisiaj w dobrym humorze. – Przepuszcza Sabinę i zamyka za nią drzwi. – Beżowy kolor pasuje do niej jak ulał. Lepszy byłby tylko szary... – mówi o swetrze, który pani Krystyna zawija w papier.

Pomyśl lepiej o swoich jaskrawych szminkach – chce odpowiedzieć pani Krystyna, ale milczy.

Gabinet duży i do biurka idzie się długo. Sabina jako dziewczynka była tu z ojcem. Zapomniała już, w jakiej sprawie i dlaczego ojciec wziął ją do swojego przyjaciela, prezesa banku rolnego. Z tamtej bytności został jej w pamięci smak czekoladowej trufli i zapach koniaku pitego przez mężczyzn. Z następnych wizyt pamięta nie tylko każde słowo Barskiego, ale i każde uniesienie brwi.

Biurko stoi w tym samym miejscu co przed wojną, kanapa i fotele przesunięte są bardziej pod okno. Na pewno więcej książek, inne też portrety na ścianach. Portret Piłsudskiego, który zapamiętała, nie był udany, bo Marszałek wyglądał na nim bardzo groźnie, a przecież taki nie był. O portretach, które wiszą teraz, woli nie myśleć. Nowym w gabinecie meblem jest stół konferencyjny. Na pewno nie stał tu w lipcu.

– Wolałbym, abyście nie zawiedli, towarzyszu. Samolot nie jest nam potrzebny, aby przewieźć meble...

– Barski rozmawia przez telefon. Na widok Sabiny uśmiecha się i wskazuje jej jeden z foteli.

Sabina siada i przypatruje się lampie na biurku. Ledwie ubrana kobieta z brązu podtrzymuje szklany klosz. Zza niej dobrze widać człowieka, który choćby mówił szeptem, zawsze będzie słyszany.

– To sprawa polityki, i to nie tylko kulturalnej. Rozumiecie, co mam na myśli? Tak, czekam na potwierdzenie... Dureń! – Ostatnie słowo wypowie już po rzućeniu słuchawki na widełki. Teraz dopiero spojrzy na nią i uśmiechnie się tak, jak tylko on potrafi. – Z czym pani przychodzi, pani redaktor?

Wstał z za biurka i usiadł w fotelu naprzeciw niej. Nie był wysoki, ale należał do ludzi, którzy przyciągają uwagę. Tak wyobrażała sobie Napoleona Bonaparte, z tym tylko że Barski nie robił ważnych min i nie trzymał ręki na piersiach. W pogniecionej marynarce i koszuli z kołnierzykiem na guziczki wyglądał dzisiaj jak pisarz Somerset Maugham, którego zdjęcie miała na biurku.

– Z niczym ważnym. Szefowa kadr zdecydowała, że w najbliższym pochodzie będziemy przebrani w stroje sportowe...

– To raczej odgórna dyrektywa. W zdrowym duchu zdrowe ciało, czy może odwrotnie. My, którzy krzewimy oświatę, mamy okazać gotowość do tężyzny fizycznej. Niby śmieszne, ale w normie, nie sądzi pani?

– Tyle tylko że my, w redakcji poezji, mamy być łyżwiarkami figurowymi...

– Sam to zasugerowałem. Czymże jest poezja, jeśli nie ślizganiem się po chmurach? Myślałem, że zrobię pani przyjemność. Jest pani młoda, zgrabna, więc w krótkiej spódniczce może pani pięknie rozkwitnąć...

– Panie dyrektorze, ale ja nie umiem jeździć na łyżwach... – Sabina czuje, że się czerwieni, i przecucie jej nie myli. Na dodatek wie, że źle zaczęła rozmowę, bo przecież nie z tym przyszła.

– I co z tego? Przecież łyżwy będzie pani miała przewieszane przez szyję.

– Biegałam trochę, więc może wystarczą pantofle z kolcami?

Barski unosi się w fotelu i gładzi ją po policzku z pewnym niedowierzaniem.

– Moje dziecko, gdybyśmy tak mogli być we wszystkim uczciwi... Kto lepiej od pani zna się na przerośnięciach? Wszelkie manifestacje i pochody są w pewnym sensie teatrem... – Zawahał się po tych słowach, a Sabina stwierdza w myśli, że do twarzy mu także z wahaniem. – Odgrywanym w słusznej sprawie, oczywiście. Pani po prostu zagra rolę dziewczyny wysportowanej, a ja obiecuję, że na trybunie udam mędrca. A czy wyglądam na mędrca?

– Tak. I jest pan nim. – Dawno nie była tak przekonana o swojej racji.

– Dobrze, że chociaż w pani oczach. – Barski wstaje i zaczyna chodzić po gabinecie. Nie wiadomo skąd, ale wiedziała, że teraz zapyta ją o to, z czym napraw-

dę przyszła. – A co z naszym wielkim poetą? Czy już wie, że jeśli nie zdecyduje się na małe przeredagowanie, nie będziemy mogli go wydać? Proszę nie wstać, ja lubię chodzić. To nawyk z celi.

– Ma przyjść jutro, aby się dowiedzieć, co pan zdecydował.

– Pani Sabino, gdybym to ja zdecydował o wszystkim, to pozyskanie takiego poety uważałbym za nasz największy sukces... Sytuacja międzynarodowa jest jednak taka, a nie inna, wszędzie czyhają wrogowie... – Nie mówi tego z przekonaniem, ale i tak jest przekonujący. Potem tylko na pozór zmienia temat. – Pani też, jak ten Wodzicki, walczyła w powstaniu?

– Nie udało mi się. To znaczy, nie chciałam... – Sabina nie bardzo wie, co powiedzieć.

– Nieważne. W każdym razie jako warszawianka mogła pani walczyć. Myślę, że trzeba mu okazać więcej życzliwości. Wiem, pani nie umie być nieżyczliwa, ale chodzi o więź pokoleniową.

– Zawsze, kiedy przychodzi, proponuję herbatę, a ostatnio przyniosłam z domu ciasto.

– A właśnie, dom... Gdyby tak pani wyprowadziła poetę poza nasz szacowny gmach? Może nawet zaprosiła do domu? Wydawnictwo rozliczy wszystkie koszty...

– To niepotrzebne, panie dyrektorze. Możliwość zaproszenia kogoś takiego to przyjemność i zaszczyt. Nie wiem tylko, czy się zgodzi.

– Gdybym ja go zaprosił, pewnie by nie przyszedł, ale pani? Na pewno znajdziecie wspólne tematy. Trzeba przekonać tego pięknego człowieka, że jeśli tylko zrobi mały krok do tyłu, to postąpi do przodu... Uczynimy z niego wieszczka... Niech mu pani opowie, jacy to pisarze zdecydowali się u nas wydawać.

– Wszyscy o nich wiedzą.

– Nigdy za dużo powtarzania. W pani cała nadzieja, Sabinko.

Niespodziewanie Barski zbliża się i głaszcze ją po twarzy. Robi to tak naturalnie, jakby dotykał kwiatu. Sabina nie oddycha długą chwilę. Kiedy dochodzi do siebie, Barski właśnie odprowadza ją do drzwi, a nawet wychodzi z nią do sekretariatu. Sekretarki podnoszą głowy znad biurerek.

– I proszę częściej się uśmiechać. – Barski osobiście daje przykład, jak należy to robić, i spogląda na sekretarki. – Pamiętajcie, że dla pani Sabiny jestem, nawet jeśli mnie nie ma dla nikogo... – Znika w gabinecie.

Krystyna bije bezgłośnie brawo w stronę zawstydzonej Sabiny, Lidia, jakby niezadowolona, pochyła głowę nad papierami. Sabina z wrażenia zapomina zapłacić za sweter. Z tego powodu znowu będzie źle spała.

Dekret

Sabina zadowolona z siebie. Udało się jej połączyć telefonicznie z Marcelem Wodzickim. Nie miał telefonu, mieszkał na Pradze przy Inżynierskiej. Podał jednak sposób, w jaki go można wywołać. Telefon był w punkcie skupu makulatury, należało prosić pana Stanisława („Proszę pamiętać, tylko pana Stanisława, bo ten drugi wyjątkowy niezguła”), a kiedy podejdzie, jemu właśnie powiedzieć, że chce się rozmawiać z Marcelem. Tak zrobiła. Niezguła wahał się nawet, czy zawołać Stanisława, bo ten miał być bardzo zajęty, ale wreszcie zawołał: „Stachu, jakaś kobita do ciebie!” Stanisław okazał się miłym człowiekiem, jednak uprzedził, że trzeba trochę poczekać, bo musi wejść na trzecie piętro, a i tak nie wie, czy Marcel w domu. Czekala dobre pięć minut, dowiedziała się czegoś o rodzajach makulatury, i w końcu miły głos. Zdziwiony najpierw. Potem Wodzicki jakby się nawet ucieszył. „Dobrze się składa, bo powiem pani, że wasz piękny gmach bardzo mnie onieśmiela”.

Obiad jedzą przy łóżku babci, aby jej było weselej. „Taki mam dzisiaj ból w krzyżu, Sabinieciu, że nie wstałam”. Sabina co jakiś czas głaszcze babcię po ręce, a ta odwzajemnia się bladym uśmiechem.

Wszystkie trzy są do siebie podobne, z czego nie raz żartują, ale tylko babcia jest w stanie zapewnić, że

jako młoda dziewczyna była piękną, o której rękę chciano się pojedynkować. Mama twierdzi skromnie, że kiedy była młoda, mogła się spodobać niejednemu. „Tak jak i ty, Sabinko, gdybyś tylko wykazała się inwencją. Urodzie można pomóc usposobieniem...”

Po obiedzie poprawiają babci poduszki i Sabina jak zwykle bierze się do zmywania. Do wycierania naczyń niespodziewanie przyłącza się mama. Niespodziewanie, bo zawsze po obiedzie śpi chwilę na szeszlunku uratowanym z dawnego mieszkania.

Krążą po kuchni, wzajemnie sobie przeszkadzają i Sabina wie już, że coś się stało. Może to wiedzieć, bo mama milczy, a milczy rzadko. Nie zdarza się też nigdy, aby Sabina nie musiała zdać relacji z tego, jak było w pracy. Wreszcie Sabina nie wytrzymuje napięcia.

– Coś z babcią, o czym mi nie chcesz powiedzieć?

– Nic, pieści się tylko... – Już same te słowa dowodzą, że stało się coś złego, bo mama powtarza często, że na punkcie zdrowia babci jest niezdrowo przewrażliwiona. „Pamiętaj, Sabinko, dopóki babcia żyje, obie ciągle jeszcze jesteśmy dziećmi”.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Ścierka rzucona na oparcie krzesła spada na podłogę, ale mama nie pozwala jej podnieść. Bierze Sabinę za rękę i prowadzi do dużego pokoju. To w nim mieści się szafa i duży okrągły stół, tutaj Sabina ma biurko i tu śpi na kanapie. Przy stojącej lampie stolik z bakelitowym radiem. Duża, wygodna kanapa jest także po-

wodem złych snów Sabiny. Wie, że mógł spać na niej niejaki oberleutnant Schnittke, który, jak powiedział dozorca, mieszkał tu w wojnę. Problemem jest także charakterystyczna tapeta, którą Sabina bardzo chciała zmienić, ale dozorca widział ją podobno na samym początku wojny, a więc na pewno kazał ją położyć przedwojenny właściciel mieszkania. Problem w tym, że dozorca przypomniał sobie o tym dopiero po rozmowie z mamą. Sabina nie ma więc pewności, czy nie zawarli porozumienia, aby ją, Sabinę, uspokoić.

Mama pcha ją na fotel, a sama idzie do pokoju babci, który jest także jej pokojem. Szczęśliwie nerwowość mamy nie udziela się Sabinie. Zamyka nawet na chwilę oczy, przypominając sobie rozmowę z dyrektorem Barskim. Wyjątkowo nie jest pewna, czy dobrze pamięta kolory pasków na jego krawacie. Kiedy otwiera oczy, mama stoi przed nią z pudłem po pralinach od Semadeniego. Wiadomo, że trzyma w nim listy i programy teatralne.

– Ogłosili właśnie, że trzeba zdawać złoto i waluty. – Ton głosu mamy taki, jakby mówiła o czyjejs śmierci. – W wypadku nieposłuszeństwa będą srogie kary.

– Mamo, przecież nie mamy złota ani walut.

– Dla twojego dobra nigdy ci o tym nie mówiłam.

Mamy złotą monetę...

Mama stawia pudło na stole i zaczyna w nim grzebać. Nie od razu znajduje małą kopertkę, w której można by się raczej spodziewać pukla włosów.

– Dziadek dostał ją na Syberii od Amerykanina handlującego futrami. To dolarówka, a więc kara może być podwójna...

Podaje monetę Sabinie. Jej ręka drży. Jeśli Sabina jest czymś zaniepokojona, to tylko stanem mamy. Ogląda monetę bez zbytniego zainteresowania. Dłużej przyjrzy się tylko wygrawerowanej na niej kobiecie, podobnej do postaci podtrzymującej lampę w gabinecie Barskiego.

– Trzeba spytać Arkadka. – Sabina wierzy, że brat zna się na wszystkim i niczego się nie boi.

– Już ja wiem, co mój synekczek powie... – Mama macha tylko ręką.

Jeśli chodzi o ukochanego syna, to matczyne machnięcie ręką, nawet zrezygnowane, zawsze grozi cudem. Nie minie chwila, a Arkadiusz zstąpi do nich ze swojej pracowni na ostatnim piętrze kamienicy. Już sam jego fartuch, poplamiony wszystkimi kolorami tęczy, sprawi, że zrobi się weselej.

Sabina kocha młodszego brata, a więc jak zwykle z przyjemnością spojrzy na młodego mężczyznę, obdarzonego nie tylko talentem malarskim, ale i piękną aparycją. Wysoki, z jasnym spojrzeniem, jest nawet do niej podobny, choć jako dziewczyna nie byłby piękną. Włosy z tyłu opadają mu na kołnierz, co nie za bardzo podoba się babci i mamie, ale nie mówią tego głośno, bo to przecież artysta.

Arkadiusz zauważa poważne miny kobiet. Może dlatego na wszelki wypadek o nic nie pyta i znika

w kuchni. Przedtem jednak całuje je na dzień dobry. Szuka czegoś metodycznie, zajrzy nawet do szafki, w której mama trzyma leki pozostałe z czasów, kiedy miała aptekę na Wilczej. Światło z lampy kuchennej tak pięknie odbija się w szkle buteleczek, że nie byłby malarzem, gdyby nie pomyślał o martwej naturze.

Kobiety słyszą otwieranie i zamykanie szafek. Patrzą na siebie zaniepokojone. Mama nie wytrzymuje i idzie do kuchni.

– Nalewka jest tutaj, ale nie wiem, czy akurat teraz powinieneś jej próbować.

– Mam tak spragnionego gościa, że gotów jest wypić nawet słodkie piwo.

– Poczęstuj gościa, synku, ale sam, bardzo cię proszę, nie pij dużo...

– Mamuśku, przecież wiesz, że ja nie mogę za dużo pić. Źle się potem czuję. – Arkadiusz jest pewien tego, co mówi.

– Wiem i dlatego się martwię o ciebie. A teraz chodź do pokoju, bo musimy się naradzić.

Arkadiusz dokładnie ogląda monetę.

– Bzdura, to tylko głupie zarządzenie. Jak się, mamo, boisz, to przechowam ją w pracowni. Tam jej nic nie grozi...

– Tobie akurat nie wolno ryzykować... Oddamy i już. Więcej straciliśmy w życiu i jakoś żyjemy.

– Jak zwykle masz rację, mamo... – Syn z szelmowskim uśmiechem całuje matkę w czoło i puszcza oko do siostry. Wychodzi szybko.